

rzy, dając tem dowód współpracy i koleżeństwa skautów z brygadami chłopców.

Do zajęć brygad chłopców należą praktyki religijne (brygady rozwijają się na terenie kościoła anglikańskiego), zebrania w salach klubowych — gdzie są biblioteki, czytelnie i t. d. — musztra wojskowa i nauka strzelania, pod kierunkiem oficerów, a w lecie także ćwiczenia wojskowe w polu. Chłopcy mają swe mundury, oznaki i broń. Co roku rozbija każda brygada swój obóz, podobnie jak to czynią teraz drużyny harcerskie. Nasze ryciny przedstawiają właśnie ogólny widok takiego obozu i przegląd poranny w obozie.

W TATRACH.

„Otóż wybraliśmy się na Wysoką od strony dolinki Kaczej, do której ks. Hohenlohe nie pozwolił urządzać wycieczek. Ale pomimo tego, bez wielkich trudności ze strony straży leśnej udają się tam turyści a udają się licznie, gdyż jest to punkt, w którym koncentrują się drogi na Rysy, Ganek, Młynarza, Wysoką, Spiczasty Szczyt i wiele innych wysokich turni. Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma tam strzelców tyrolskich a tylko góral pocziwina pilnuje, to za parę papierosów każdy może się znaleźć w tej ślicznej dolince. Szedłem wtedy ze znanym wam może Kazikiem Wrockim, który znajdował się w Tatrach po raz pierwszy i dlatego w czasie drogi nieraz fuszerował. Ale o to mniejsza.

Przeszedłszy przez tę niewielką dolinkę, w której zjedliśmy śniadanie, zaczęliśmy się wspinać na strome zbocza szczytu, który był celem naszej wyprawy. Po jakiejś godzinie drogi odzywa się Kazik, który szedł za mną:

„Słuchaj Władek, nieszczęście się stało. — Muszę wracać na dół, bo zostawiłem tam pakunek z aparatem fotograficznym i linami. Może mi kto buchnąć!”

„Ech, głupstwo, nikt ci nie skradnie! A jeżeli się wrócimy, to już nie ma co marzyć o dostaniu się dzisiaj na Wysoką” — odpowiedziałem — „Jeszcze przed nami długa droga i bardzo nużąca miejscami”.

„Ale co zrobimy bez liny? Nuż nam wypadnie użyć jej?”

„Będziemy tak szli, aby jej nie potrzebować. Swoją drogą tęga z ciebie gapa, jeżeliś dwóch tak ważnych rzeczy potrafił zapomnieć. — Ja do swego aparatu nie mam gotowych kliszy, tedy wszystkie zdjęcia przepadły. Ale trudno! Wracać nie myślę”.

Poszliśmy dalej. Wkrótce natrafiliśmy na miejsce bardziej eksponowane, trudne do przebycia bez pomocy liny, trudne ale możliwe. Tu Kazik znowu stanął.

„Władek rób co chcesz, ja wracam. Nie myślę skrócić karku bez liny. Przecież tu niemożliwym jest dalsze przejście”.

Zgniewało mnie to jego niedołęstwo.

„Jak sobie życzysz. Ja idę dalej! Chcesz to chodź ze mną, a nie to wracaj” — rzekłem.

„Ale ja dalej nie mogę iść, bo czuję, żebym spadł w dół”.

Do widzenia — powiedziałem mu i minawszy owo niebezpieczne miejsce ruszyłem dalej. Ścieżka pięła się w górę coraz stromiej (swoją drogą lina byłaby się przydała) spieszyłem więc co sił, nie oglądając się za siebie. Rachowałem na to, że Kazik ruszy za mną, kiedy ja przejdę przez owo niebezpieczne miejsce i że idzie za mną. Ale po jakimś czasie ogłądałem się i stanąłem. Byłem zupełnie sam. W dole prawie przy dolinie spuszczała się po głazach jakaś ludzka istota prawdopodobnie Kazik.

Zrobiło mi się głupio. Sam jeden zostałem tutaj wśród tych przepaściowych ścian bez liny i nawet bez mapki. Każdemu na moim miejscu nie byłoby miło, a zwłaszcza mnie młodemu. Była chwila, w której postanowiłem zawrócić, ale zaraz odegnałem od siebie tę myśl.

„Cóż to mam tchórzyc? Albo to sam nie wejść na szczyt? Idę dalej!” I przemógłwszy obawę ruszyłem w górę. Przed oczyma snuły mi się obrazy rozbójników tatrzańskich, strasznych przepaści i miejsc nie do przebycia ale mimo to szedłem coraz wyżej. Droga stawała się łatwiejszą, mniej stroma i wnet znalazłem się na szczycie

Tutaj postanowiłem zjeść obiad i poczekać na towarzysza podróży. Wokoło cudny widok... Dziko spiętrzone wierzchołki o przepastnych ścianach, ówdzie w dole czernił się stawek, na ścianach Żelaznych Wrót dojrzałem przez lornetkę gromadkę turystów. Ponad szczytami snuły się chmury, a nawet niektóre czuby górskie ginęły w nieprzejrzystym, białym obłoku. Cisza była, owa znana południowa biała cisza na szczycie, kiedy wokoło rozstłonecznione góry, niebo i przepaści, po których tu i ówdzie snują się czarne cienie wązkich żlebów... Smutnie było i rozkosznie...

Położyłem się na kamieniach, oparłem się o ścianę skalną, położyłem i ani się spostrzegłem kiedy usnął.

Obudziłem się wreszcie i z przerażeniem spojrzałem wokoło. Słońce już prawie zniknęło pomiędzy szczytami, a tu przedemną jeszcze taka długa i trudna droga! Przez chwilę zastanowiłem się, czy nie lepiej zostać na szczycie i zanocować tutaj, ale wstyd mi było Kazia. Toby dopiero śmiał się, gdyby się dowiedział! Rozglądałem się lepiej i widzę na ziemi kartkę, zwykły bilet wizytowy. Zaciekawiony podnoszę i odczytuję;

„Dobranoc” — i podpis Kazia.

Byłem wściekły. Natychmiast przygotowałem się do drogi i zacząłem schodzić w dół. Robiło się coraz ciemniej; w miarę, jak spuszczałem się niżej, słońca już całkiem nie było widać, tylko po szczytach błąkał się złotawy odbłask. Noc zapadała szybko i wreszcie ciemność zupełna ogarnęła wszystko. Wprawdzie błady księżyc trupiemi światłami oblewał ściany sąsiednich turni, ale ściana, którą schodziłem była zupełnie nieoświetlona. Jeszcze parę kroków i znalazłem się w wązkim żlebie,